

Pillon i Synowie

Marek
Hemerling

RW2010

MAREK HEMERLING

Pillon i Synowie

Oficyna wydawnicza RW2010

Poznań 2013

MAREK HEMERLING
PILLON I SYNOWIE

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2013

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marek Hemerling 2013

Okładka Copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

Wydanie I

ISBN 978-83-63598-70-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Kojący dotyk Promiennej Żywicielki ogrzał twarz Hoot-Hotorana, gdy ten śnił o swoim płowozłotym szczęściu. Zupełnie jakby musnęła dłonią jego policzek...

– Ajme – wymruczał. – Moja słodka Ajme. Nie drocz się ze mną. Chcę spać. Jestem taki zmęczony.

– Nareszcie – usłyszał czyjś chropawy głos. – Strasznie długo to trwało.

I wtedy eksplodował palący ból w skroniach, a wraz z nim fala najświeższych wspomnień. Dziwna, obca, przerażająca – och, wybaczenie, Przodkowie! – postać Najstarszego z Najstarszych i uczucie bezradności, jakiego doznał, gdy ogarniała go ciemność. Jęknął, chwytając się za głowę.

– Nie tak gwałtownie, mój panie – to mówił Lo-Tarakta. – Wszystko będzie dobrze, już jesteście z nami.

Przytrzymano mu ręce, do ust przytknięto buklak z wodą zaprawioną odrobiną sfermentowanych ziół. Upił kilka łyków – ból jakby zelżał. Otworzył oczy i zobaczył stroskaną twarz nauczyciela na tle błękitnego nieba.

– Gdzie my... – Zesztywniały wargi nie chciały go słuchać. – Co się dzieje? – wykrztusił z trudem.

– Płyniemy na północ. Leż spokojnie, proszę.

Na północ! Tam przecież czekają na Archetę, a on...

– Nie wiem, czy... – jak miał im to powiedzieć? – ...czy powinniśmy?

– Odpoczywaj. – Lo-Tarakta opatulił go miękkim pledem. – Będzie jeszcze czas na rozmowy.

Poddał się. Plusk wioseł, kołysanie łodzi i wygodne pośłanie zrobiły swoje. Znowu zasnął, ale tym razem w krainie snów nie czekała na niego płowozłota Ajme, lecz zgarbiona postać ojca. Bred-Hotoran chodził po pogorzelisku, czasami przystawał, by rozgarnąć kijem dymiące jeszcze resztki. Wreszcie widać znalazł to, czego szukał, bo odwrócił do syna pomazaną sadzą twarz i wyciągnął w jego stronę

nadpalone drzewce z rodowym znakiem. Czerwono-czarne wstęgi zwisały żałośnie. Krew i ziemia... a może ogień i popiół? Czy tak brzmiały wyroki Losu?

– Zawiodłem – wyszeptał Hoot-Hotoran, wyrывая się z objęć snu. – Zostałem odtrącony.

Przed sobą widział sylwetki pracujących zgodnym rytmem wioślarzy i zadarty dziób łodzi tnącej wartki nurt rzeki. Musiał spać dość długo, bo dzień miał się ku końcowi, a błękitne wcześniej niebo pociemniało – może na znak żałoby. Promienna Żywicielka litościwie schowała oblicze za zasłoną ciężkich chmur, jakby nie chciała oglądać jego porażki. Spadły pierwsze krople deszczu.

– Powinieneś się okryć, mój panie. – Czuwający z boku Lo-Tarakta pomógł następcy usiąść i otulić ramiona obszerną peleryną.

Hoot-Hotoran zauważył kilka łodzi eskorty płynących po prawej stronie, gdzie niemal wprost z wody wyrastała spleciona ściana bujnej zieleni. Oprócz walczących z nurtem wioślarzy, siedzieli w nich łucznicy przepatrujący ze strzałami na cięciwach nadbrzeżne chaszcze. Z lewej, traktem biegnącym niedaleko rzeki, przemieszczał się oddział zbrojnych na ciężkich, bojowych obotakach. Kolorowe wstęgi ich znaków nie pozostawiały cienia wątpliwości – przyboczni ojca, drużyna Archety. Pilnowali go, jakby był kimś niezwykle ważnym, a przecież nic dla nich nie miał, nic nie zdziałał, nie zjednał przychylności Bóstwa. Po cóż więc to wszystko?

– Okryj się szczelniej, Hoot-Hotoranie. – Lo-Tarakta obserwował uważnie niebo. – Zaczyna naprawdę padać.

Coraz gęstszy deszcz spływał po wygolonych głowach wioślarzy, którzy jednak ani na chwilę nie złamali rytmu, jakby drobne niedogodności tego świata zupełnie ich nie dotyczyły. Gładką powierzchnię rzeki poznały rozbiegające się, z każdą chwilą liczniejsze kręgi – ślady łez wylewanych przez zasmucone niebo. Od strony widocznych z przodu zamglonych wzgórz nadpłynęła fala chłodu – potargała

czupryny nadbrzeżnych chaszczy, skotłowała wstęgi rodowych znaków, zmoczyła twarz następcy. Zadrżał z zimna, a może ze strachu – to właśnie tam była Dradva.

– Są wieści z pola walki. – Lo-Tarakta sięgnął do sakwy i wydobył ciasno zwinięty rulon. – Taab-Nabatan pozdrawia cię, panie. Píše, że na razie panuje nad sytuacją i jest gotowy na twoje przybycie, ale prosi o pośpiech. Chwała Przodkom, którzy dali nam tak zręcznego stratega. – Wyciągnięta dłoń z listem na moment znieruchomiała przed Hoot-Hotoranem, ten jednak pokręcił głową.

– Dobrze wiesz, nauczycielu, że słabo się znam na wojnie – powiedział.

– Jak sobie życzysz. – Lo-Tarakta ukrył rulon w przepastnej sakwie. – Skoro już wypocząłeś, musisz się wreszcie posilić – mówił dalej, grzebiąc w bagażach na dnie łodzi. – Później może nie być na to czasu.

– Czy naprawdę nie ma na świecie rzeczy ważniejszych niż jedzenie? – Hoot-Hotoran chwycił starca za ramię, szukając jego wzroku.

– Ależ są, oczywiście, że są. – Lo-Tarakta śmiało spojrzał w oczy następcy. – Jednak każda z nich ma swoją porę i miejsce. Tak cię przynajmniej uczyłem, pamiętasz? A w tej chwili najważniejsze jest twoje zdrowie, dlatego posil się, proszę.

– Nie chcę. Nie przełknę ani kęsa.

Starzec patrzył na niego wyczekująco.

– Gdybyż to było takie proste... – Hoot-Hotoran owinał się szczelniej peleryną. – Chyba nigdy tak bardzo nie potrzebowałem twojej pomocy, nauczycielu. Potrafiłeś doradzać mojemu ojcu, zawsze stałeś u jego boku, służąc mu wiedzą. Znajdź teraz jakąś podpowiedź dla syna. Jestem jak ktoś, kto nagle utracił wzrok. Pamiętam, że gdzieś tu była droga, jednak nie widząc jej, obijam się o ściany, potykam, błędzę w ciemności, tracąc cenny czas. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co powinienem dalej robić.

– Zrobiłeś już wszystko, czego od ciebie oczekiwano – powiedział Lo-Tarakta uspokajającym tonem. – Wykonałeś zadanie. Jesteś naszym nowym Archetą.

– Tak myślisz? Skąd możesz o tym wiedzieć? Nawet nie zapytałeś, co się zdarzyło, gdy wkroczyłem do domu Najstarszego z Najstarszych.

– Nie pytałem twojego ojca, chociaż nazywał mnie przyjacielem, nie będę też pytał ciebie. Cokolwiek zaszło w Dolinie Protoplastów, jest sprawą pomiędzy Bóstwem a rodem Hotoranów. To wasze prawo i przywilej, wasz... obowiązek. Wszystko, co tam widziałeś i słyszałeś, było przeznaczone dla twoich oczu i uszu. Nam, poddanym, nic do tego. Tak stoi zapisane w księgach i tego cię uczyłem.

– Uczyłeś mnie również, że najważniejsza jest uczciwość.

– To chyba oczywiste.

Hoot-Hotoran spojrział w niebo, z którego padał coraz gęstszy deszcz. Szukał tam podpowiedzi, która przecież nie była mu potrzebna. Nie mógł milczeć i wiedział o tym. Gdyby chodziło tylko o niego...

– Zostałem odtrącony – powiedział głośno i wyraźnie, a gdy usłyszał brzmienie tych słów, poczuł nagle wielką ulgę, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. – Należy jak najszybciej posłać po moich kuzynów, synów Treda-Hotorana. Może któryś z nich zdoła przebłagać Najstarszego z Najstarszych, by spojrział na nas łaskawszym wzrokiem.

– Cóż za absurd – poderwał się Lo-Tarakta. – Wybacz śmiałość, panie, ale przecież byłeś tam i wróciłeś do nas. Czy to nie wystarczający dowód, że powierzono ci losy Skolgaru?

– Sam nie pojmuję, dlaczego tu jestem, dlaczego jeszcze żyję. – Hoot-Hotoran westchnął. – Nie rozumiem tego, co się zdarzyło w domu Najstarszego z Najstarszych. Słyszałem w głowie jego głos, patrzyłem mu prosto w oczy... – Wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Błagałem o pomoc, ale mi odmówiono, kazano odejść... Tam nic więcej nie mogłem zrobić, tutaj muszę wyznać całą prawdę... – Rozłożył bezradnie ręce. – Pewnie lepiej byłoby dla nas wszystkich, gdybym zginął. Wtedy nie mielibyście wątpliwości.

– Ale przeżyłeś! – krzyknął Lo-Tarakta. – Nie, Hoot-Hotoranie, nie będę tego słuchać. Na pewno się mylisz.

– Uwierz mi, nauczycielu, proszę cię, musisz mi uwierzyć. Nie wiem, czy ja sam zawiniłem, czy przyczyna leży gdzieś głębiej. Może to zmiana prawa tak uraziła Bóstwo, rozgniewała je, stworzyła nowy porządek rzeczy? Musimy z tym coś zrobić. Trzeba działać. Jest jeszcze czas, by naprawić błąd.

– Nie sądzę. – Lo-Tarakta pokręcił z powątpiewaniem głową. – Dwa, najwyżej trzy dni, to wszystko. Taab-Nabatan pisze, że dłużej nie utrzymają Dradvy.

– Utrata twierdzy nie oznacza jeszcze końca Skolgaru. Nowy, prawdziwy władca, obdarzony błogosławieństwem Najstarszego z Najstarszych, może dokonać rzeczy pozornie niemożliwych. Sam stanę jako prosty żołnierz z bronią w ręku i wykonam każdy jego rozkaz.

– Zastanów się, co mówisz, mój panie. Bóstwo opiekuńcze rodu Hotoranów przyjęło cię w swoim domu i pozwoliło szczęśliwie wrócić. Byli przy tym Wtajemniczeni, którzy uznali, że wszystko przebiegło zgodnie z prastarym obyczajem. Czyżby się mylili? Doprawdy, trudno mi w to uwierzyć.

– Chciałbym przyznać ci rację, ale nie mam pewności...

– Strażnicy Przekazu ją mieli. Za ich sprawą wieść o tym wydarzeniu obiegła już cały kraj, po najdalsze Kręgi, wywołując wielką radość i budząc wiarę w zwycięstwo. Armia czeka na twoje przybycie, Hoot-Hotoranie. Na przybycie Archety. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, co masz zamiar oznajmić swemu ludowi?

Pytanie ugrzęzło w monotonnym szumie deszczu, zakłócanym jedynie miarowym pluskiem wioseł o wodę.

– Odebrano mi nadzieję – wyszeptał następca, patrząc na wyłaniające się zza kolejnego zakrętu rzeki garby wzgórz. – Najstarszy z Najstarszych mi ją odebrał. Mówił takie rzeczy...

– Może zostałeś poddany próbie?

– Której nie sprostalem.

– Która wciąż trwa, Sakli. – Lo-Tarakta sklonił głowę przed Hoot-Hotoranem, dotykając palcami skroni.

– Nie nazywaj mnie tak, nauczycielu. – Strach ścisnął serce następcy. – Nie zasłużyłem na ten tytuł, nie godzi się więc go używać.

– Sam powiedziałeś, że nie masz pewności...

To prawda. Skąd miałby ją mieć? Ojciec tak niewiele mu przekazał. Nie zdążył. Może zbyt wierzył w swoje szczęście albo w rozsądek Strażników Przekazu. A jeśli za bardzo ufał w przychyłność Bóstwa?

Gdzieś z przodu, od strony zamglonych wzgórz, dobiegł ponury dźwięk gromu. Wzmógł się lodowaty wiatr, smagając rześzystymi strugami deszczu twarz następcy, marszcząc gniewnie powierzchnię rzeki, chłoszcząc rozproszone łodzie łuczników i jadący brzegiem przyboczny oddział Archety. Zaslone szarych chmur przeciął zygzak błyskawicy i jeszcze jeden grzmot przetoczył się nad Skolgarem – jakby w Klepsydrze Zdarzeń opadło kolejne Ziarno Losu. Jego Losu.

– Darujcie, czcigodni Przodkowie, że zawiodłem wasze zaufanie – Hoot-Hotoran pogrążył się w modlitwie. – Zatopcie tę łódź lub uderzcie w moją głowę ostrzem nieba, bym nie sprowadził nieszczęścia na waszych poddanych. Nie zwlekajcie, proszę, szkoda każdej chwili. Wybacz i ty, ojcze, że nie sprostalem zadaniu. Może ta ofiara choć w części zmaże moją winę, byś nie odwrócił twarzy, gdy przed tobą stanę.

Zamknął oczy i ze spuszczoną głową pokornie czekał na spełnienie prośby, przywołując w pamięci radosną postać płowozłotej Ajme. Tak było łatwiej. Dużo łatwiej.

Łódź wciąż płynęła, walcząc z deszczem i gwałtownymi podmuchami wiatru. Ciągłe grzmiało – regularnie, raz za razem. Dołączył do tego wysoki, przenikliwy dźwięk fletry. Wioślarze zwolnili rytm i Hoot-Hotoran poczuł boczne kołysanie – szli

w poprzek rzeki, skręcając w stronę lewego brzegu. Na nim, w głębi niewielkiej zatoki osłoniętej przed rwącym nurtem wałem omszałych glazorostów, pojawiła się rybacka osada – może dziesięć niskich domostw, trochę sieci rozwieszonych na tyczkach, kilka wyciągniętych na piasek czółen. Na plaży płonął mimo deszczu ogień, wokół którego widać było zgromadzonych mieszkańców. To właśnie stamtąd dobiegał regularny łomot bębna i wibrujący gwizd fletry.

– Co się dzieje? – spytał Hoot-Hotoran.

– Doszedłeś już do siebie, więc dalej pojedziemy lądem – wyjaśnił Lo-Tarakt.
– Tak będzie szybciej.

– W ogóle nie słuchałeś tego, co mówiłem – stwierdził następca ze smutkiem. – To nie ja powinienem się spieszyć, lecz synowie Treda. Los Skolgaru jest teraz w ich rękach. Czy muszę rzucić się w wodę, by śmiercią potwierdzić prawdziwość mych słów?

– Zrobiłbyś to?

– Jeżeli nie znajdę innego wyjścia.

– Wiesz przecież, mój panie, że samobójstwo jest największym wykroczeniem przeciwko biegowi Rzeki Zdarzeń. Twój potępiony duch będzie się błąkać samotnie w poszukiwaniu światła i nikt nie rozpali ofiarnego ognia, który wskazałby odszczepieńcowi drogę do krainy Przodków.

– Niepotrzebnie to mówisz, nauczycielu. Cóż znaczy jedna zgubiona dusza za uratowanie Skolgaru?

– Jesteś uparty jak twój ojciec. – Starzec pokręcił głową. – Zdaje się, że prosiłeś mnie o radę. Oto ona. Skoro tak ci na tym zależy, wyślij kuzynów do Doliny Protoplastów. Niech tam czekają na dalsze rozkazy. Gdyby coś się stało, natychmiast wejdą do domu Najstarszego z Najstarszych, ty zaś...

– Mam udawać Archetę? – Hoot-Hotoran nie krył oburzenia.

– Masz być Archetą – powiedział Lo-Tarakta z naciskiem. – Jak każdy z waszego rodu, który stanął twarzą w twarz z Bóstwem i wrócił do poddanych.

Łódź wpływała już na spokojniejsze wody zatoki. Coraz wyraźniejsze bicie bębna przyspieszyło rytm, wprawiając zgromadzone wokół ognia sylwetki mieszkańców w taneczny trans. Do dźwięku fletry dołączył monotonny chór głosów. Melodia nie była obca – Hoot-Hotoran rozpoznał ją bez trudu. Nucono Pieśń Przemiany, śpiewaną w Skolgarze w chwilach szczególnych: gdy po uroczystościach weselnych młodzi opuszczali domy rodziców, by zbudować własny i spróbować znaleźć w nim odrobinę radości, gdy wraz z nastaniem wiosny Promienna Żywicielka zdejmowała z rzeki lodową pokrywę, uwalniając roje nowo zrodzonych trzepnic, gdy po Dniach Pamięci Przodków lud zbierał się przed Archestagiem na kolejny Pochód Życia.

Tak było zawsze, tak jest i będzie.

Szczęśliwi, którzy posiadli nadzieję.

Donośne uderzenia bębna, zagłuszające odległy dźwięk gromu, radosny śpiew roztańczonych postaci.

Niech tak zostanie.

Łódź siłą rozpędu dobiła do brzegu, a wioślarze przeskoczyli burty, by zgodnym ruchem wyciągnąć ją na kamienistą plażę. Hoot-Hotoran poczuł słodkawy zapach rozkładających się glonów, wszechobecnej pleśni i dymu z wędzarni. Wstał niepewnie i wspierany przez Lo-Taraktę, ostrożnie wyszedł na ląd. Zakreśliło mu się w głowie. Pewnie by upadł, gdyby nie nadspodziewanie silne ramię starca.

Pieśń Przemiany zamarła w pół słowa.

– Szkoda – szepnął następca, odrzucając kaptur i obiema dłońmi ścierając z twarzy znużenie.

Spojrzał w zaciągnięte szarymi chmurami niebo – deszcz przynosił ulgę, ustało kołysanie ziemi pod stopami.

– Sakli. – Dowódca przybocznych ojca zeskoczył z grzbietu zgonionego obotaka i zamiótł po kamieniach szarfami bojowego hełmu.

Za jego plecami w paradnym szyku stała drużyna Archety – wierna, czujna, gotowa. Zmoczona sierść wierzchowców parowała zmęczeniem, woda ściekała po ochronnych skorupach pancerzy, ale jeźdźcy siedzieli prosto, a uniesione w geście pozdrowienia znaki napęły serce następcy otuchą.

– Witajcie. – Poczul się różniej, widząc znajome od lat postacie.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny Hoot-Hotoranie, synu Breda, władco Skolgaru – wyrecytował dowódca, ledwie unosząc głowę. – Cieszymy się z twojego powrotu. Wszystko gotowe do drogi, tylko, wybacz, Sakli, miejscowi chcą ci coś ofiarować. – Wskazał w stronę zebranych wokół ognia postaci.

– Ofiarować? – zdziwił się następca. – To zupełnie zbędne. Ja...

– Czy przemyślałeś moją radę, panie? – wpadł mu w słowo Lo-Tarakta.

– Cóż... – zawahał się Hoot-Hotoran.

– Dopóki tego nie zrobisz, pozostaw rzeczy ich własnemu biegowi. – Starzec wziął go pod ramię i delikatnie popchnął między kryte łuskami chaty. – Na razie chodźmy zobaczyć, co chce ci ofiarować lud Skolgaru.

To była tarcza. Wspaniała tarcza wykonana z grzbietu skorupnicy. Najlepsza z możliwych – lekka, poręczna, mocna. Ozdobiono ją barwami Hotoranów – krwią z serca i czernidłem z trzewi rzeczno potwora – utrwalono balsamem Świętego Głazu, wytrawiono w ogniu. Następca spoglądał na ten niezwykle dar, na zgięte w kornym ukłonie sylwetki wysłanników wioski okryte skołtunioną, przetłuszczoną sierścią, słuchał ofiarnej formuły wypowiedzianej chropawą gwarą północnych Kręgów i czuł, jak ogarnia go zdumienie i podziw dla tych ludzi. Za taką tarczę można by dostać sporą, doskonale wyposażoną łódź, zbudowaną w najlepszych warsztatach stolicy, oni jednak... Cóż miał im powiedzieć? Że nie jest tym, którego oczekują?

– Kto był przynętą? – spytał, pokonując dławiące gardło wzruszenie.

– Mój najmłodszy syn, Sakli – odezwał się przywódca osady, patrząc następcy prosto w oczy.

– Żyje?

– Los sprzyjał, nawet go nie drasnęło. – Z głębi gromady wypchnięto chudego podrostka, który niechętnie wystąpił dwa kroki naprzód i dopiero ofuknięty przez ojca, przypadł do ziemi.

– Dzielny chłopak. Możesz być z niego dumny.

– Jestem, panie. – Poznaczoną pasmami siwizny twarz przywódcy rozjaśnił szczerzy uśmiech.

Hoot-Hotoran pogładził idealnie gładką, doskonale wytrawioną powierzchnię tarczy. Piękna robota. Dar godny władcy Skolgaru. Prawdziwego władcy, za którego się przecież nie uważał. A jeśli Lo-Tarakta ma rację? Jeśli próba wciąż trwa?

– Macie tu świetnych rzemieślników – stwierdził, zastanawiając się, jak powinien teraz postąpić.

– A jakże. Jeden nawet pomagał kiedyś zbrojmistrzowi w Dradvie. Ja sam byłem wtedy dziesiętnikiem, ale to dawne czasy. Teraz poszło tam dwóch moich synów i jeszcze kilku innych z wioski. Oby Najstarszy z Najstarszych pozwolił im szczęśliwie wrócić do domu.

– Oby pozwolił – powtórzył z namaszczeniem następca.

– Niech ten dar chroni ciebie, tak jak ty chronisz nas wszystkich, Sakli. – Palce przywódcy dotknęły skroni, a cała trójka wysłanników pochyliła się w głębokim ukłonie.

– Dziękuję... – Hoot-Hotoran podniósł tarczę i zarzucił ją na lewe ramię. – Dziękuję z całego serca. – Najchętniej zapadłby się pod ziemię. – Oby Przodkowie wysłuchali waszych modlitw.

– Oby wysłuchali – zaszemrała gromada.

Nad brzegiem rzeki ponownie rozbrzmiała Pieśń Przemiany. Następca odwrócił się pospiesznie i, odruchowo dostosowując krok do bicia bębna, ruszył plażą, byle dalej od ufnych spojrzeń mieszkańców osady. Przecież nie na niego czekali!

Tarcza ciążyła mu niemiłosiernie.

Pajacyk naprawdę się postarał – gary zostały pozmywane, kuchnia wyszorowana, pokoje dokładnie wysprzątane, nawet trawnik przed gankiem starannie wykoszony. Powietrze wypełniały delikatne dźwięki akustycznych gitar, tworzących podkład dla kojącej nerwy melodii wygrywanej na oboju. Z bezchmurnego, bezwzględnie lipcowego nieba spływały fale upału, jednak w cieniu rozłożystego dębu panował przyjemny chłód – idealne miejsce na poobiednią sjęstę. Właśnie tam był Filip. Siedział w przysuniętym do drewnianego stołu wygodnym wiklinowym fotelu, obracając w palcach smukły kieliszek wypełniony doskonałym winem i przyglądał się gładkiej jak lustro tafli jeziora. Zamazana linia horyzontu lekko drżała w rozgrzanym powietrzu. Dalej, za granicą stworzonego przez splot centralny mirażu, za twardą skorupą trwałnika istniał świat futrzaków, o którym opowiadał mu Hoot-Hotoran. Prawdziwy świat, gdzie toczyło się realne życie ze wszystkimi swoimi wybojami i zakrętami, miłością i nienawiścią, radością i rozpaczą. Takie, jakiego sam nigdy nie miał okazji doświadczyć.

Nie bardzo wiedział, czy powinien im zazdrościć, czy wręcz przeciwnie. Łudził się, że zdoła to sobie jakoś poukładać – kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, kiedy już wróci. Jeśli wróci...

Pajacyk – największe pozytywne wzbudzenie emocjonalne – usiadł na krześle po drugiej stronie stołu i przyjrzał się Filipowi z uwagą. Martwił się. Obiekt był w kiepskim stanie. Należało jak najszybciej rozpocząć procedurę usypiania – delikatnie, bez zbędnych wstrząsów. Uzyskanie zgody na uaktywnienie torpedy alarmowej zostało okupione nadmiernym stresem. Upłynie sporo czasu, zanim organizm osiągnie stan względnej równowagi. Jednak wezwanie o pomoc zostało wysłane – samosterowne cygaro zapewne dotarło już do gardzieli najbliższej bruzdy Bootney’a, wracając jak po nitce do punktu wyjścia. Znakomicie. Prawdopodobieństwo uratowania Filipa w końcu osiągnęło maksymalną hipotetyczną

wartość. Gdyby nie jego upór, stałoby się to znacznie wcześniej. Teraz wreszcie można było przejść do fazy letargicznej.

– Miałeś wyjątkowo ciężki dzień – zaczął Pajacyk monotonnym głosem. – Jesteś bardzo, bardzo śpiący, twoje powieki są takie ciężkie...

Filip ziewnął. Głowa opadła mu na pierś, kieliszek wymknął się z palców i upadł na ziemię, gdzie natychmiast wchłonęła go zielona trawa. Powoli ginęły zbędne elementy wizualizacji – zniknęło jezioro, chaszcze porastające brzegi, domek z otaczającymi go drzewami. Ocalał tylko samotny dąb, stojący pod nim stół i dwie postacie w wiklinowych fotelach. Zgasło nikomu już niepotrzebne słońce, a kolory blakły powoli, zamieniając się w różne odcienie szarości. Została jeszcze muzyka, łagodnie unosząca Filipa w krainę snu.

I gdy docierał do granicy, za którą oczekiwała go bezczasowa pustka, poczuł w lewym obojczyku delikatną vibrację. Tak właśnie reagował wszczep PIN-u muśnięty wiązką fali czeszącej – kiedyś, w innym świecie, w innym życiu...

Szarpnął się ze wszystkich sił. Job matery, nie wolno mu przecież spać, nie w tej chwili! Powieki nie chciały go słuchać, walczył z nimi jak z jakimś zepsutym mechanizmem. W końcu zdołał je unieść i przesłonił dłonią oczy oślepione lipcowym słońcem, które pojawiło się dosłownie mikrosekundę wcześniej, wraz z pełną wizualizacją.

– Co to było, Paco? – spytał zduszonym głosem.

Pajacyk siedział napuszony jak sowa z wyrazem skupienia na pucołowatym obliczu. Wreszcie zerwał z głowy szpiczastą czapeczkę i prasnął nią o stół. Na wyglansowanej łepetynie załśniły kropelki potu.

– Włamali nam się do systemu – stęknął.

– Kto? – Wszystko zależało od odpowiedzi na to pytanie.

– Pojęcia nie mam, nie przedstawili się.

Skaranie z tym Pajacem.

– Kawrasz, zrób coś...

– Nie podają hasła, obchodzą zabezpieczenia, blokują matrycę. – Paco wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. – Kompletny paraliż. – Rozejrzał się dookoła z przestachem w oczach. – Przykro mi, ale nie panuję już nad sytuacją.

– Przykro ci? – nie wytrzymał Filip. – A co ja mam powiedzieć? – Ogarnęła go fala bezsilnej wściekłości. – Ile czasu minęło tym razem?

– Nawet nie zdążyłem cię uśpić.

Coś zatrzepotało w koronie dębu nad ich głowami i spomiędzy gałęzi sfrunął dorodny gołąb pocztowy, lądując z gracją na stole. Spacerował chwilę tam i z powrotem, aż wreszcie stanął tyłem do Pajacyka, łypiąc na Filipa to jednym, to drugim okiem.

– Masz pan jedną nową wiadomość, panie Pillon – zaskrzeczał wyraźnie i sięgnawszy dziobem pod skrzydło, wydobył wydrukowaną na staromodnym papierze wizytówkę, po czym zostawił ją na blacie i odleciał w stronę jeziora.

Przesyłki Kurierskie WirFull

gdziekolwiek będziesz – łączymy wszystkie światy

Filip przeczytał tekst kilkakrotnie i spojrzał pytająco na Pajacyka, który wzruszył tylko ramionami i powiedział zrezygnowanym tonem:

– Sam słyszałeś, to do ciebie.

– No a gdzie wiadomość?

Najpierw był tylko dźwięk – tętent galopujących koni, strzały z bicia – a potem zza zasłony zieleni wypadł pocztowy furgon, ciągnięty przez poczwórny zaprzęg. Gnając wzdłuż brzegu jeziora, nadjeżdżał z zapierającą dech w piersiach prędkością. Wyhamował tuż przed stołem, choć wydawało się to niemożliwe. Parskające, czarne jak noc ogiery, ściągnięte pewną ręką woźnicy, aż przysiadły na zadach,

a zablokowane koła wozu wryły w trawie głębokie bruzdy. Otworzyły się boczne drzwiczki i ze środka wyszedł posłaniec ubrany w granatowy uniform ze złotym lamowaniem. Na głowie miał czapkę z daszkiem ozdobioną trąbką pocztyliona, w ręku trzymał ciasno zwinięty rulon.

– Człowieczość Filip Pillon w wirtualności jednostkowej? – zapytał.

Nie doczekawszy odpowiedzi, zrobił krok do tyłu i zmierzył adresata uważnym spojrzeniem. Ponownie zawibrował wszczep PIN-u. Posłaniec uśmiechnął się szeroko.

– Wezwanie doręczone – stwierdził triumfalnie, wielkopańskim gestem kładąc na stole opieczętowany rulon. – Życzymy miłego dnia, panie Pillon – rzucił jeszcze, nim trzasnęły drzwiczki furgonu.

Strzał z bicia poderwał zaprzęg i wóz pocztowy odjechał tak szybko, jak się pojawił, zostawiając po sobie zmaltratowany trawnik i leżącą na blacie przesyłkę. Filip spoglądał to na nią, to na Pajacyka, który siedział z taką miną, jakby go nagle rozboleły wszystkie zęby.

– Co to za wyglupy, Paco? – spytał ze złością.

Chwycił rulon, skruszył lakową pieczęć i rozpostarł na stole gruby pergamin.

Niniejszym wzywa się człowieczość Filip Pillon, syn z Dominika – wzrok z trudem pokonywał zawijasy ozdobnych liter – przebywającą czasowo w wirtualności jednostkowej (system wizualizacyjny: splot centralny statku gwiazdnego „Łagodny Olbrzym”, otorbienie awaryjne), członka Zarządu Firmy „Pillon i Synowie – Nieruchomości”, przed oblicze Trybunału, celem wysłuchania wyroku w sprawie własnej, którego ogłoszenie odbędzie się w miejscu: rzeczona wirtualność, i w czasie: względnym bieżącym. Stawiennictwo nieuniknione.

Na dole widniał okrągły, czerwony stempel przedstawiający postać odzianą w długą suknię kobiety z opaską na oczach. W jednej dłoni trzymała wagę, w drugiej miecz.

– Co to wszystko znaczy, Paco? – zapytał drżącym głosem Filip.

Pajacyk rozłożył bezradnie ręce.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Witaj w świecie, w którym bałbyś się własnego cienia... Gdybyś go tylko rzucał. Ludzie, otoczeni strefą chtoniczną, walczą o przetrwanie, za obronę mając jedynie małe, szare kulki – nasiona szarego Inu. Ale przyjdzie czas, kiedy będzie trzeba wejść prosto w napierającą chtoniczność. Tylko czy głównemu bohaterowi wystarczy odwagi?



Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w polskich miasteczkach trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!

[Kup książkę](#)